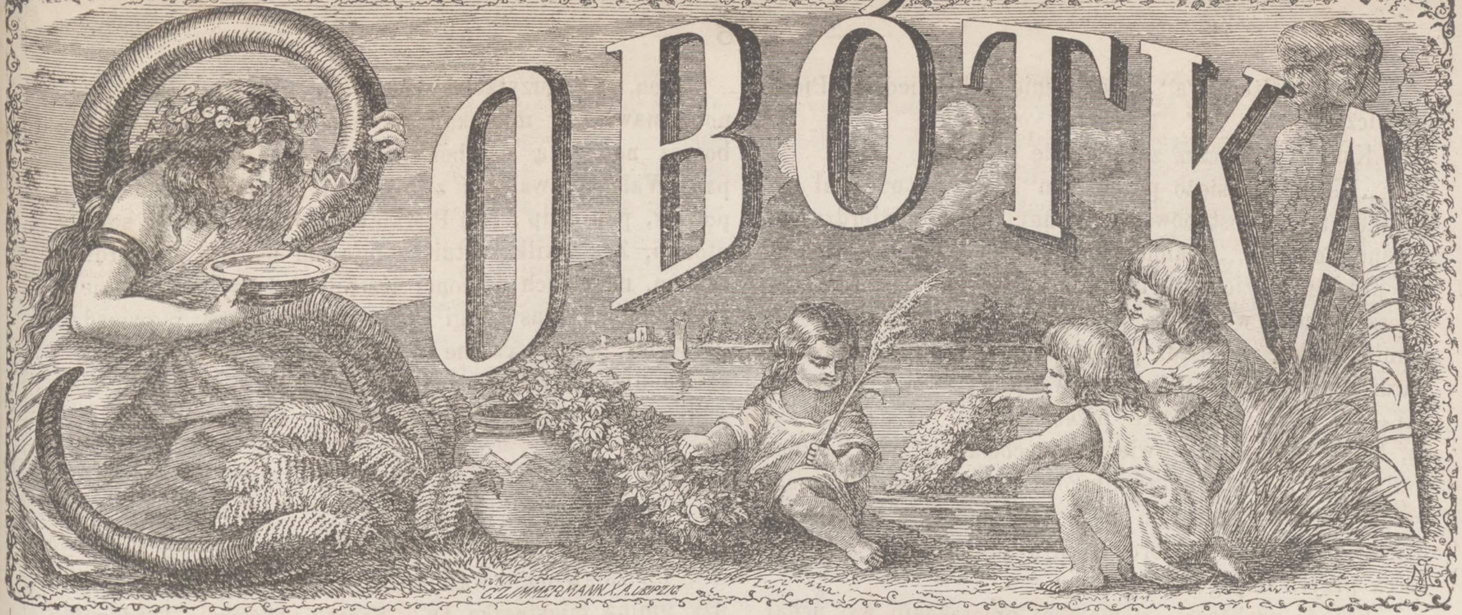


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 34. Poznań, dnia 20 Sierpnia 1870. Rok II

Wojna o pannę.

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

....

(Ciąg dalszy.)

Właśnie szanowny pan Majcher ogromnym ogonkiem i plamą swój nieczytelny przyozdabiał podpis, kiedy Piórkiewicz nagłem przybyciem powiększył koło stroskanych. Opowiadanie Piórkiewicza widocznym wszystkich przejęło przestrachem.

„Czy oszaleli z procesem!“ rozpaczliwie zawołał pan Majcher. „Całą gminę na prawie pewną narażają stratę!...“

„Ależ panie Filipie!“ błagał pan Szydełko w zamyśleniu chodzącego gospodarza, „zapobiedz trzeba nieszczęściu!... Protestujmy, panie Filipie, perswadujmy tym szalonym pałkom!...“

„Groch o ścianę, panie sąsiedzie!“ głęboko westchnął pan Filip, „alboż to nas usłucha ktokolwiek... A nuż proces wygraną się skończy, to nas pewno do zdrajców policzą, do wspólników uknutego z Szyszkiewiczem spisku... Niema rady, niema rady, sąsiedzie!...

Argument ten zupełnie przytłumił odwagę gorliwych obywateli. Stracić szacunek i przyjaźń mieszkańców, stracić rozległą praktykę, nakoniec wynieść się z miasta,... to zbyt straszne dla tak spokojnych umysłów na przyszłość widoki. Pan Majcher i pan Szydełko za radą pana Filipa postanowili w téj sprawie całkiem neutralne zająć stanowisko. Pan Filip jednym rzutem oka spostrzegł wszelkie korzyści, jakie proces ten mógł przynieść dla niego. Z jednéj strony, w razie przegranéj, pan Walenty zgubionym był na zawsze, z drugiéj zaś w każdym przypadku, stosunek Zosi ze Stasiem zerwanym być musiał zupełnie. Małżeństwo ich czyżby nie było potwierdzeniem krążących podejrzeń?... Kubuś, jedyny zalotnik otwartą miałby już drogę!...

Piórkiewicz, podpisawszy ów akt zaufania, pożegnał pana Filipa i pod zasłoną wieczornych ciemności podążył wprost do probostwa.

„I cóż nowego, panie nauczycielu?“ z wymuszoną wesołością wchodzącego zapytał ksiądz proboszcz.

„Źle, źle, księże proboszczu!“ z westchnieniem odparł Piórkiewicz. „Obywatelstwo skargę przesyła do konsystorza,... umysły strasznie wzburzone!...

Tylko pan Filip, pan Majcher i pan Szydełko chcą bronić księdza proboszcza, a ja im pomagam jak mogę. Jutro akt zaufania wysyłamy przeciw téj skardze, ale taka mniejszość nie wiele mieć może nadziei!...“

Ksiądz proboszcz uśmiechnął się gorzko... Obrona czterech parafjan cieszyła i upokarzała go zarazem.

„Przytem“ słodko dorzucił Piórkiewicz, „Szyszkiewiczowi proces wytoczą zapewne.“

„Proces?“ zapytał proboszcz zdziwiony, „a w jakiejże on ze skargą zostaje styczności?“

„Ha!“ zawołał Piórkiewicz, spuszczając oczy ku ziemi, „o złą radę obwiniają księdza proboszcza,... o jakąś z Szyszkiewiczem umowę!...“

Ksiądz proboszcz zerwał się z krzesełka. Boleść i rozżalenie na jego pięknéj malowały się twarzy, łza zakręciła się w oku, ale chcąc w obec Piórkiewicza należytą zachować powagę, kilka razy przeszedł się po izbie i spokojnym zapytał go głosem:

„I do jakiegoż celu prowadzić miała nasza umowa?“

„Do małżeństwa“ lakonicznie odpowiedzia Piórkiewicz.

Ksiądz proboczcz zaśmiał się głośno.

„Niestety, księże proboszczu“ potulnie odezwał się Piórkiewicz, „postępowanie panny Zofii utwierdza te błędne domysły... Panna Zofja i pan Stanisław widują się prawie codziennie, to w lesie, to nad jeziorem, to wreszcie tutaj w altanie, jeżeli księdza proboszcza niema w miasteczku.... Ksiądz proboszcz nie wie nic o tem, ale parafja plotkom wierzy i niekorzystne wyciąga z tąd wnioski... O tych schadzkach przebąkiwano już dawno, ale ja, księże proboszczu, wierzyć niechciałem tym bajkom i dla tego milczałem tak długo... Niestety, starałem się przekonać i przekonałem się o tém naocznie i dla tego dzisiaj troskliwy o dobro księdza proboszcza, z bólem serca przychodzę go ostrzedz.. “

Ksiądz proboszcz w niemem przerażeniu wysłuchał słów Piórkiewicza...

Zosia którą wychował, wypieścił, którą zawsze kochał jak ojciec, dla której pracował i zbierał, — kłamstwem, nieufnością, obłudą odpłaciła się za to!.. Jéj uśmiech rozkoszny, jéj czyste niewinne spojrzenie, jéj miłość, wesołe pieszczoty były więc maską i fałszem!... Serce proboszcza pękało z boleści....

„Dziękuję panu!“ złamanym do Piórkiewicza odezwał się głosem, rzucił się w krzesło przy biórku i oczy zakrył rękoma.

Piórkiewicz uszanował tę boleść, cichuteńko wymknął się z pokoju i pomimo zupełnéj ciemności podążył w stronę kościoła. — Kościół miasteczka D. nie był jednolitym budynkiem, Z początku bardzo maleńki, z biegiem czasu różnémi rozszerzony przybudowaniami, nieszczególną odznaczał się architekturą. I tak, z lewéj strony kościoła, przeciw wszelkim prawom symetryi, wystawały ściany zakrystyi, przez co główny zarys świątyni niemałego do szubienicy nabrał podobieństwa. Ksiądz Teofil w pierwszych latach swojego probostwa, chcąc usunąć błąd tak rażący i nieszczęsną szubienicę w zwykłą formę krzyża zamienić, kazał po prawéj stronie kościoła, równolegle z murami zakrystyi, podobną przybudować przystawkę. Przybudowanie to, małemi na cmentarz opatrzone drzwiczkami, było magazynem niepotrzebnych gratów i zarazem archiwum kościoła. Piórkiewicz, który nad życiorysem sławnego kanonika wolny czas przepędzał w archiwum, otrzymał klucz od zewnętrznych drzwiczek i w każdéj dnia chwili uczęszczać tam mógł bez przeszkody. — Do tego to właśnie archiwum i teraz skierował swe kroki. Cichuteńko otworzył więc drzwiczki, zapalił świeczkę łojową, ze stosu rozmaitych papierów dwa zakurzone wydobył arkusze, położył na dnie ogromneéj skrzyni dębowéj i rozmaitémi zasypawszy je gratami, zatrzasnął wieko potężne i na kłódkę zamknął starannie.

„Leżcie tu, leżcie“ przebąkiwał do siebie z radością, „aż się znajdzie pora stosowna... Ho, ho, ho, panowie obywatele, szpieg wam się da już we znaki!... Jeżeli z tych okoliczności nie uda mi się skorzystać, to już chyba żywot cały w téj nędznéj przepędzę mieścinie!...

To mówiąc zgasił świecę i wyszedłszy cicho z archiwum, zamknął znów drzwiczki starannie i chyłkiem pobiegł do domu...

Sen, ów przyjaciel ludzkości, nie wszystkich téj nocy nawiedził mieszkańców miasteczka. Ksiądz proboszcz noc całą na bolesném przepędził rozmyślaniu, pan Walenty, walcząc z myślami, długo nie zamknął powiek, pan Filip i pan Piórkiewicz w rozkosznych snach utonęli, Zosia kilkakrotnie z bijącém budziła się serduszkiem, na ustach uśpionéj Kachny figlarny igrał uśmieszek, Kubuś czas długi spoglądał na niebo i gwiazdy i widział w nich czarne oczęta swéj Kachny, a wszystkich umysły i serca jedna zaprzątała zagadka, — zagadka niepewnéj przyszłości...

VII.

Niespodzianki.

Po załatwieniu wszelkich formalności, proces pomiędzy gminą miasteczka D. a Szyszkiewiczem z Grabinek przyszedł przed kratki sądowe. Wypadek ten w umysłach obywateli zupełną wywołał przemianę. Po dwudziestu przeszło latach spokojnego całkiem żywota, po dwudziestu latach snu i błogosławionéj ciszy, wojenna trąba zagrzmiała wśród murów miasteczka i duch Marsa, przyjaciel sarmackich potomków, ocucił uśpione umysły, z serc przezorną wypędził obawę i wszędzie rozniecił płomień zapału i nienawiści. Obywatelom ruch ten i zapał nadzwyczajnie przypadał do smaku; czuli się aktorami olbrzymiéj w ich wyobrażeniu tragedyi, bohaterami wiekopomnéj walki, a poczucie to schlebiało ich ambicyi i gorączkowéj, ruchliwéj naturze. Przytem prawdopodobny wypadek procesu, dla niejednych podbudzającą stał się niespodzianką; proces w dotychczasowym przebiegu dla miasteczka zupełne rokował zwycięztwo. Pan Feliks nie mógł praw swoich na niezbitych oprzeć dowodach, wieść o uczynionym niegdyś zakupnie, niepewne co do granic świadectwo kilku podeszłych już włościan, roszczeniom pana Feliksa żadnéj nie dawało podstawy, podczas gdy gmina miasteczka długoletniem posiadaniem dostatecznie dowiodła swe prawa. Pan Feliks zaczepiony znienacka, zagrożony przegraniem procesu, ze wszech stron gromadził dowody, odwoływał się do wyższych instancyi, przewlekał i utrudniał bieg sprawy, lecz bez żadnych pomyślniejszych widoków. Pan Feliks przeczuwał przegraną i chęć zemsty, chęć szkodzenia tryumfującym przeciwnikom zaprzątnęła zupełnie myśl jego.... Tymczasem znaczenie pana Walentego z dnia na dzień powiększało się w miasteczku. Obywatele zachwyceni bystrością jego umysłu, podbudzeni jego energją, odwagą i wojennym duchem, oczarowani szczęśliwym przebiegiem procesu i pewną nadzieją zwycięztwa, odstąpili całkiem gościnnego pana Filipa, który niegodną opozycyą na imię zdrajcy zasłużył, i pana Walentego jednomyślnie swoim obrali przywódzcą. Pomyślność ta żadnéj w domu bohatera nie wywołała reakcyi. Pani Petronela, jak powiedzieliśmy, straciła ufność do siebie, zrzekła się całkiem korony, a powróciwszy, dzięki okolicznościom i odwadze genialnego małżonka do dawnéj powagi i znaczenia, pozostawiła rządy w ręku człowieka, którego podziwiać i obawiać się teraz zaczęła i stosując się całkiem do jego rozkazów i pomysłów, odgrywała rolę małżonki wielkiego ministra. Kawy, herbaty i odwiedziny znów dawnym rozpoczęły się trybem, wielka liczba

ugrzecznionych sąsiadów i sąsiadek uczęszczała do salonu pani Petroneli, ale przewaga pana Walentego na każdym objawiała się kroku. Pani Petronela nie ufała już teraz słodkim twarzyczkom sąsiadek i unikała starannie wszystkiego, coby zazdrość ich i nienawiść na nowo podbudzić mogło do życia. Czy przy takich okolicznościach zazdrość ta długo pozostać mogła w uśpieniu?, — to łaskawy czytelnik rozstrzygnie z łatwością. Tak więc pan Walenty jaśniał aureolą tryumfu i szczęścia. Wygrany proces był zarazem wyrokiem wygnania dla nieszczęśliwego proboszcza, który już dla saméj przyzwoitości pozostać nie mógł dłużéj w miasteczku. Proces ten uniemożliwiał zarazem małżeństwo Stasia z Zosią, Kubuś podług bardzo wyraźnego zeznania proboszcza, nie otrzymałby nigdy jéj ręki, panna w dwudziestym roku zostałaby z pewnością na koszu, bo i w okolicy żadna stosowna nie istniała partja. Taką zemstę ułożył sobie pan Walenty i zemsta ta blizką była urzeczywistnienia. Ale w krótkim czasie pan Walenty w swojem błogiem zachwiał się przekonaniu. Stosunek księdza proboszcza z wesołym zawsze panem Filipem, w ostatnich czasach polepszył się znacznie. Pan Filip bardzo często do opuszczonego zaglądał proboszcza, często ze synem poszedł w odwiedziny, czasem nawet na miasto wychodził z proboszczem i w zażyłéj zupełnie zdawał się być z nim przyjaźni. Spostrzeżenie to mocno zaniepokoiło pana Walentego… „Ho, ho, panie Filipku!“ pomyślał sobie w duszy. „nie pozwolę ja tobie przy mym ogniu tak tłustéj upiec pieczni!… Prędzéj mi włosy na dłoni urosną, zanim ty synka ożenisz z tą panną!… Znajdę ja na to sposobik i figielka wypłatam waszmości!… Wypadki opisane powyżéj bardzo boleśnie dotknęły księdza proboszcza. Przeciw tak ogólnéj nienawiści, przeciw tak ciężkim zarzutom czuł on się całkiem bezbronnym; godność jego i stanowisko zmuszały do milczenia, obojętności i szlachetnéj wzgardy, która tém więcéj rozdrażniała dumę parafjan. Ksiądz proboszcz ze spokojną twarzą swe kościelne wypełniał obowiązki, z niejednym obywatelem rozmawiał bardzo przyjaźnie, ani słowa o zaszłem nie wspominając rozdwojeniu. codzień o wieczornéj godzinie spacerem przechodził przez miasto z błogim na twarzy spokojem, — słowem na zewnątrz zdawał się nie wiedzieć o nieprzyjaznych zamysłach obywateli, lecz w głębi serca ubolewał nad niewdzięcznością i zaślepieniem parafjan i przewidywał ze smutkiem, że pole swych prac i zabiegów, do którego przywiązał się tak mocno, opuścić będzie zmuszonym. Nie dziw więc, że przy takim stanie umysłu, ksiądz proboszcz niezwykłą dla pana Filipa okazywał przychylność. Pan Filip. uśmiechnęty, ugrzeczniony jak zawsze, pocieszał go w utrapieniu, dobréj dodawał otuchy, naraził się wiernością na nieprzyjaźń współobywateli, a zacny ksiądz proboszcz, nie domyślając się właściwéj tych zabiegów przyczyny, zewsząd nieprzychylnemi otoczon umysłami, skłonił się naturalnym biegiem rzeczy ku téj jedynéj prawie istocie, która zasługom i słusznéj sprawie winny hołd oddać umiała. Pan Filip na tak naturalnych objawach zbyt śmiałe budował nadzieje.… W tych smutnych dniach prześladowania, jak anioł opiekuńczy, przy boku proboszcza piękna znajdowała się Zosia. Zosia swoim niewieścim rozumkiem nie zgłębiła przykrego stanu rzeczy, do wypadków zaszłych w miasteczku nie wiele przywiązywała wagi, smuciła się tylko smutkiem stryjaszka i powtarzając zawsze: „to minie!“ ku rozweseleniu proboszcza wszelkiego dokładała stararania. Razem z wielebną panią Kogucińską przystrajała gabinet kwiatami, ulubiony ogródek dobrodzieja w wielkim utrzymywała porządku, jego czubate kurki co dzień zwoływała na ganek i w obecności proboszcza zwykłą wydzielała im paszę, a przytem tak była wesołą rozmowną, a nawet względem Kubusia tak była figlarną i żwawą, że pan Filip, kombinując stosunki, coraz śmielsze wyprowadzał z tąd wnioski. Ale w postępowaniu proboszcza dziwne zjawiały się sprzeczności. Raz ponury, gniewny, niecierpliwy, na wszelkie jéj usiłowania żadnéj nie zwracał uwagi, jéj wesołość surowém krępował spojrzeniem, jéj figlarne pytania obojętną zbywał odpowiedzią, to znowu ulegał zupełnie jéj wpływom, rozmawiał przyjaźnie, wesoło, z rozczuleniem przyciskał ją do piersi i tak czułemi obsypywał wyrazami, jakich z ust jego niesłyszała dotychczas. Ksiądz proboszcz walczył widocznie z uczuciem i przekonaniem, a powodu téj walki wewnętrznéj biedna Zosia nie domyślała się wcale.…

Wlazł na Gruszkę.

Farsa bijograficzna.

(Dokończenie.)

Wreszciem wypił wiedzy rzekę,
I wszystkie maturitata
Jak relikwie biorę w tekę:
Niech pomyślę, kto zaporę
Ośmieli się stawić mi?
Jestem prawa kandydatem.
Posiadam tytuł — a zatem,
Z reszty człowiek śmiało drwi!
Mogę w świecie wielkim być,
Społeczeństwu gwiazdą lśnić!
W nagród otrzymam udziale,
Zaszczyty, herby, medale……

Po śmierci, za karawanem,
Członkom, zasłużonym stanom,
Gwiazdami tkaną poduszkę
Za mną nieść się godzi: —
Wlazł na gruszkę,
Siał pietruszkę,
Rzepa mu się rodzi!

* * *

Patrzę, oto gmach nielada,
Marmurowe wschody:
W niem ciało jakieś zasiada,
Tu złożę dowody!

Więc w śród natłoczonéj ciżby,
Wprost do dyrektora
Wchodzę, rzeknąwszy mu, iżby
Dał mi póki pora,
Przy swojem biórze posadę!
Bowiem w tejże braku,
Z kraju natychmiast wyjadę,
Niedawszy i znaku,
O mem wielkiém wykształceniu,
Nabytem przez lata!
On zaś fuknął w uniesieniu:
— Idź asan do kata!......
— Ależ panie mam patenta!
— Co mi tam do tego!
Każda posada zajęta,
Jest jeszcze woźnego!
Chcesz pan miejsca, złóż papiery,
Przyjdź jutro w południe!
— To mi, rzekłem, waćpan szczery,
Przewybornie, cudnie!
Jedenaście lat méj pracy,
Nad siły możebne,
Za oskomę nędznéj płacy,
Porzucić w służebne!
W marną zmienić się podnóżkę? —
Na to rzekł dobrodziéj:
Wlazł na gruszkę,
Siał pietruszkę,
Rzepa mu się rodzi! —

* * *

Gdy mię minęły urzędy,
Nie mogłem się dłużéj lenić;
Lecz zyskawszy panny względy,
Trzeba było się ożenić.

Tak zrobiłem znów kłopoty,
Których niemożna wyplenić.....
Bo wiecie — wpadłem w suchoty!
Wrok po ślubie schudłem wielce,
W dawnéj mojéj kamizelce
Dwóchby mogło chodzić razem.
Dość, powiem jednym wyrazem,
Że się stałem istnym karłem......
Wszystko śmierć mi zwiastowało,
I tak się też w krótce stało,
Bo we dwa lata — umarłem.
Żona, któréj nieraz muszkę,
Żyjąc z nosa wypędziłem......
Na mym grobie stawia gruszkę!
Często pod jéj cieniem miłym
Przechodzień jakowyś klęka,
Gdy go zbytnio życie znęka,
I duma patrząc na gruszkę,
Jak człek z ziemi wschodzi:
Lazł na gruszkę,
Siał pietruszkę
Rzepa mu się rodzi!

Sęk.

KORALE I WYSPY KORALOWE.

(Urywki z pamiętników naturalisty).

(Dokończenie.)

Ziemia! krzyczy majtek z kosza na wielkim maszcie, i z tym wyrazem nowe w nas wstępuje życie, nowa rozpoczyna się praca. Już nie będę mógł zajmować się tylko jednym przedmiotem, oddawać się pracy nad koralami; nie rzucę ich jednak, — bo ta ziemia do któréj przybywamy, niczém inném nie jest, tylko wielkim atolem, czyli zbiorem wysp koralowych. Stąpać więc będziemy nogą po progach wielu, wielu miliardów polipów... Lecz nie czas rozmyślać. Ląd! ląd! gotujmy się do lądu!

* * *

— Daléj... daléj, mój dzielny Requin, to tylko drabinka z kamieni. Przypomnij sobie swą zręczność. Kilka jeszcze kroków, a będziemy na wierzchołku; nieco tylko wysilenia.... Tak zachęcałem swego towarzysza, który objuczony pakunkami drapał się na skalistą górę, sterczącą wśród laguny zapadłéj wyspy Bolabola.

— Do kroćset rekinów! na moje nogi za wysoka podróż. Ta kamienna drabinka, jak ją pan nazywasz, nie warta porządnéj liny okrętowej; rozcina najpyszniejsze trzewiki marynarza, a ta skała jest tak pusta, jak okręt coś go pan narysował z koralami.

— Ależ mój przyjacielu, okręt był pełen ludzi.

— Gdzie zaś, mnie tam nie było.

Szczęściem stajemy u kresu naszéj podróży; zaprzestaliśmy sprzeczki. Spojrzałem po okolicy: zewsząd wznosiły się bałwany morskie, zdala tylko migała smuga rafy koralowéj. Był to widok dziki, pusty, a jednak nie pozbawiony uroku... uroku niezwyczajności i oryginalności.

Siadłem na najbliższym złomie i zacząłem gromadzić w pamięci sobie niektóre znane mi okoliczności powstawania wysp koralowych.

Najtroskliwsze poszukiwania polipów najdowodniéj pokazały, iż tylko mała ich liczba nasze wody zamieszkuje. W morzach północnych napotykają się tylko polipy niewydzielające właściwych dziarstwin, czyli polipników. Wprawdzie w morzu Śródziemném żyją licznie polipy na pniach wapnistych, lecz nie mają one téj rozległości, którą się polipniki strefy gorącéj odznaczają.

Te to okolice, mianowicie 20 stopień południowéj i 25 północnéj szerokości, są granicami właściwéj ojczyzny polipów. Obok położenia geograficznego, ważną w tym względzie rolę gra głębokość: brak bowiem promieni słonecznych, tudzież głębokość 120 do 150 stóp, kładzie tamę naturalnemu rozwojowi korali.

Otóż właśnie w téj krainie, w któréj się obecnie znajdujemy, istnieje mnóstwo skał utworu korali. Darwin pierwszy trzy główne formy raf koralowych odróżnił.

Rafy nadbrzeżne otaczają bezpośrednio brzeg lądu, stanowiąc niejako olbrzymie tamy nad wodę wychylone, właśnie podobne do téj, jaką widzę z odludnéj wyspy Bolabola.

Drugi rodzaj raf koralowych stanowią tak zwane rafy kanałowe, okrążające wyspę w pewnéj od lądu odległości i będące pod wodą ukryte, tak, że między rafą a wyspą niby kanał przepływa.

Trzeci rodzaj stanowią właściwe wyspy czyli atole. Są to małe wysepki wśród oceanu, zwykle od lądów odległe i kształtu nader godnego uwagi. Wązka smuga lądu, okrążając jeden punkt, ku sobie się zwraca i tworzy pierścień, lub też olbrzymie koło. Środkowa część wyspy jest w takim razie jeziorem i zowie się laguną. Zwykle ląd nierozerwanym ciągiem otacza lagunę, częstokroć jednak w wielu miejscach jest poprzerywany, czyli zamiast jednolitego pierścienia, znajdujemy mnóstwo wysp pomniejszych zwyczajnych, które w kształcie koła są ugrupowane. Niekiedy brzegi tych wysp bardzo są strome, gdyż niejednokrotnie ołowianka w blizkości atolu zanurzona, głębokość 1,550 stóp pokazywała.

Zebrawszy poprzednie uwagi, nietrudno nam będzie spostrzedz, iż zachodzi ścisła analogia między temi trzema formami raf koralowych Lecz ścisłe i łatwe tłumaczenie powstawania odnosi się tylko do raf kanałowych, widocznie bowiem powstają przez polipy, budujące je w takiéj głębokości morza, w jakiéj istoty te, parcie wody znieść zdołają. Ale owe rafy nadbrzeżne, tudzież atole, wcale nie odpowiadają warunkom w których polipy żyć mogą Jedne bowiem wystają nad powierzchnią morza, drugie zaś w tych samych okolicznościach, sięgają podstawą swoją olbrzymich głębin. Rzeczywiście więc, powstawanie tych obu rodzajów raf, wydać się musi nierozwiązaną zagadką.

Sławny naturalista Förster, towarzyszący Cookowi w podróży na około świata, utrzymywał, że polipy swoje olbrzymie budowle rozpoczynają na dnie morskiém, i, jakby wiedzione szczególném przeczuciem, nadają im formę zaokrągloną, aby się łatwiéj opierały zgubnym działaniom bałwanów morskich. Mniemanie to jednakże, nie poparte żadnym naukowym faktem, jako czysta hypoteza upaść musiało.

Następnie powstawanie ich starano się wytłumaczyć tém, iż polipy zakładają fundamenta owych wysp na brzegach wulkanicznych kraterów, co zarazem objaśnia nam przyczynę ich kolistego kształtu. Lecz i ta teorya, przeciwko któréj obszerność często na milę rozległych lagun dostatecznym jest zarzutem, ostać się długo nie mogła i ustąpiła teoryi podanéj przez Darwina, który wyspy koralowe najobszernéj i najdokładniéj zbadał. Uczony ten naturalista przypuszcza, iż obie formy raf, to jest rafy nadbrzeżne i atole, są tylko modyfikacyą raf kanałowych, których powstanie łatwo sobie wytłumaczyć. Jeżeli więc ląd jaki lub wyspa, otoczona rafą kanałową, wewnętrzną siłą ziemi wyniesioną zostanie, oczywiście woda przedzielająca w kształcie kanału rafę od lądu ustąpić musi, rafa zaś kanałowa zamienia się wtedy w rafę nadbrzeżną, otaczającą bezpośrednio ląd niby tamą olbrzymią. Przypuściwszy zaś przeciwnie, że ląd zaczyna się stopniowo zapadać, to łatwo możemy pojąć, że kanał coraz to szerszym się staje, powierzchnia zaś wyspy póty się zmniejsza, aż wreszcie zupełnie znika. Tymczasem polipy, przy tém powolném zapadaniu się znajdując ciągle odpowiednie dla siebie warunki, daléj i daléj wznoszą rozpoczęta budowę. W taki sposób tama otaczająca wyspę coraz to wyżéj się wznosi, przybierając w ciągu niezliczonych lat formę stożku, w środku wydrążonego. Jeżeli teraz po długim peryodzie zapadania się nastąpi jednorazowe wzniesienie się lądu, to budowa polipów, z taką tworzona pracą, musi się ponad powierzchnią morza wychylić, dając początek atolowi, czyli wyspie wielkie jezioro w środku zawierającéj. Widoczną jest rzeczą, iż kształt atolu zależeć będzie od wyspy, którą rafa okrążała.



Gmach Towarzystwa Kredytowego w Warszawie.

Że cała ta teorya nie liczy się tylko do czczych hypotez rozbujałéj fantazyi, miałam najlepszy dowód spoglądając na leżący przedemną widok. Należy bowiem sobie przypomnieć, iż uwagi powyższe uczyniłem stojąc na wierzchołku wyspy koralowéj Bolabola. Widok to smętny lecz nauczający. Wyspa ta leży wśród laguny zapadłego atolu, którego szczątki przedstawia nam wązka smuga rafy, okalającéj szczyt w pewnéj odległości. Przytém, zdaniem mojém, dowodzi ona, iż niekoniecznie musi ląd całkowicie zaginąć, aby powstał atol; gdyby bowiem grunt atolu Bolabola podniósł się nieco, powstałby atol rzeczywisty, mający w środku laguny, szczątek dawnego lądę.

Na tych wynurzonych z pośród głębin morskich wyspach, przy sprzyjających okolicznościach, natychmiast zaczyna krzewić się organiczne życie. Kilka nasion falą zaniesionych, już są dostateczne do rozkrzewienia bujnéj

wegetacyi, równikowy bowiem klimat doskonale sprzyja silnemu rozwojowi roślin

Z trudnością zaledwie wyobrazić sobie możemy ową chwilę, gdy człowiek poraz pierwszy do tych wysp w swéj kruchéj łodzi przypłynął. W cieniu najwspanialszych lasów, pod najpiękniejszém niebem ziemi, wśród najcudowniejszego oceanu... zdaje mu się wyspa obiecanym rajem. Do dziś dnia przechowali mieszkańcy tamtejsi ten zachwyt dla swéj ziemi, do dzisiejszego dnia ową prostotę, wesołość duszy, które są odbiciem wewnętrznéj szczęśliwości. Ograniczeni w swych żądaniach, za całe bogactwo posiadają częstokroć jedno drzewo, które swemi produktami zaopatruje ich skromne potrzeby. Tak np. mieszkańcy wysp malediwskich, któreśmy zwiedzili, z palmy kokosowéj ciągną wszystkie materyały potrzebne do utrzymania życia: z pnia wyrabiają swoje pirogi czyli czółna, z miazgi robią żagle, kręcą powrozy, z tegoż drzewa stawiają chaty pokryte szerokiemi liśćmi, i nakoniec owoc służy im za pokarm. W pobliżu morza wyżłobione doły, w krótkim czasie napełniają się wodą zdatną zupełnie do picia, wapień bowiem składający te wyspy doskonałym jest filtrem, nieprzepuszczającym cząstek czyniących wodę morską niezdatną do użycia w gospodarstwie ludzkiém.

Cóż wam jeszcze powiem o wyspach koralowych? chyba o przypuszczalném zniszczeniu tych małych rajów ziemskich; fale bowiem rodzicielskiego oceanu, poruszane bezustannie wywierają niszczącą potęgę na wyspy z kruchego powstałe wapienia. Obawiaćby się więc można stopniowego rozkruszenia i zatopienia, zważywszy zarazem gwałtowność oceanu i nizkie wyniesienie samychże wysp. Obawa ta jednakże jest płonną, bo w téj walce z morzem występuje na korzyść wysp jedna bardzo ważna siła, miliony drobnych polipów, czerpiących pokarm z morza i starannie naprawiających każde uszkodzenie, a nawet wyspę ciągle rozszerzających.

Uśmiechnie się zapewne niejeden na tę myśl, iż tak drobne zwierzątka występują do walki z tym potężnym oceanem, którego fale olbrzymim okrętem miotają jak drobną łupinką! Lecz uśmiech niedowierzania zniknie z waszéj twarzy, gdy wam przypomnę iż te polipy, według obliczenia Pérona, w r. 1815 wzniosły przeszło 200 wysp i lądów li tylko z masy koralowéj zbudowanych; że archipelagi wysp malediwskich, Lakediwów, wyspy Chagos i kokosowe w morzu indyjskiém, a na oceanie południowym Karoliny, Marszałkowe, wyspy Nizkie i Gilberta są tylko dziełem polipa.

Lecz co więcéj, nowsza geologia, ta piękna nauka, odkryła iż istnieje mnóstwo lądów w staréj Europie, będących dziełem polipów; te bowiem proste zwierzątka należą do najdawniejszych obywateli naszéj ziemi. One patrzyły na pierwotne koleje téj skorupy, po któréj z dumą stąpamy, niedawni jéj mieszkańcy; one się dzielnie przyczyniły do zmiany jéj fizognomii swemi niezmordowanemi pracami, jakby nam chciały dowieść, że nie wielkość ani siła pojedyńcza, lecz ogół, choćby z najdrobniejszych indywiduów złożony, wznieść może olbrzymie dzieła, przedmiot podziwu istot daleko wyższych — ludzi!

Wspomnienie z podróży.

(Ciąg dalszy).

V.

Siły wracały zwolna. Szczerze mówiąc, o powrót do zdrowia nie wiele się troszczyłem. — Łatwo się przyzwyczaiłem do troskliwéj opieki kobiety, któréj najmniejsza oznaka współczucia, radością mię napełniała. W czasie jéj obecności, cała uwaga nią tylko zajęta była, a gdy wyszła, myśl o niéj na chwilę nie odstępowała. Było to pierwsze uczucie w mém życiu, uczucie, z którego sprawozdania zdać sobie nie mogłem. Niewolniczo poddałem się jemu, i szczęśliwy byłem ze słabości, dającéj mi podporę w ramieniu idealnéj kobiety.

Upał był wielki..... Pani Bronisława zwykle stawiała kwiaty przy łóżku. Wieczorem kiedy je skrapiała wodą, zapach po całem rozchodził się mieszkaniu. W tenczas to, z pewnego rodzaju upojeniem, wpatrywałem się w mego anioła stróża. Nie pragnąłem zdrowia; z przestrachem o niem myślałem.

Pomimo egzaltacyi wiedziałem dobrze, że kobieta ta działała według obmyślanego planu. Kiedy słabość wymagała pomocy, przybiegała uzbrojona jakimś dziwnym urokiem czułości i wdzięku, rozwiewającym w jednéj chwili cierpienia. — Lecz gdy widziała mię unoszącego się nieco, łagodny uśmiech, jak błędny ognik igrający na jéj ustach, krył się gdzieś za chmury, zostawiając po sobie ponurą zasłonę.

Razy kilka widziałem ją śpiącą na kanapie. Poza i całe udrapowanie przypominało imperatorki, uwiecznione dłutami rzeźbiarzy Rzymskich.

O kim marzy? pytałem siebie, wspierając się na ręku. Jakie uczucia drgają jeszcze w téj piersi? Co w niéj dziś mieszka? Czy żyjące, czy umarłe serce? Nadzieja czy żal? Czy opieka jéj nademną jest tylko uczynkiem chrześciańskim? Czy każdy inny chory doznałby téj saméj troskliwości? I czy pierwszy lepszy, byle tylko równie jak ja cierpiał, mógłby się cieszyć tem dotknięciem ręki, które mię elektryzuje? mógłby się zachwycać tym głosem, który tak mile słuch mój pieści?

Przyszedłszy do tego punktu rozmyślań, jedno wspomnienie z przeszłości, przerwało ich ciąg dalszy. Było to wspomnienie dnia, w którym słyszałem wymówione nademną wyrazy. „Ach! byle żył tylko! Bóg jest sprawiedliwy!“ Czy prośba ta, czy ten głos namiętny nie wyrażał uczucia, któreby mogło być zastosowane do każdego z chorych? Tak! nieinaczéj... I w téj chwili stanęło mi przed oczyma łóżeczko, a na niem dziecko umarłe. Widziałem i jéj oczy pełne nienawiści i ręce skrzyżowane i usta wymawiające przekleństwo. Widmo wydało się ciemne i okropne.

Dzień upływał za dniem, a nic stosunku jéj do mnie nieobjaśniło. Doktór R. domyślał się uczuć jakie w piersi mi wrzały, ale wyraźnie okazać tego niechciał.

Pewnego dnia powiedział spoglądając na panią Bronisławę:

— „Serce pana jest bardzo słabe, bardzo wrażliwe.... Boję się doprawdy“...

Wyrazy te musiały wywołać pewne zaambarasowanie na mojéj twarzy, ponieważ i on przybrał postać surową. Spoglądał z kolei to na nią, to na mnie, jak sędzia badający obwinionych.

— „Dosyć tego... dosyć“... rzekł znowu „Tak daléj być nie może. Musimy, kochany chłopcze, zmienić system i to zaraz. Zanadto masz pan wiele obowiązków na świecie, żebyś mógł tak siedzić zamknięty. Powietrze miejskie jest nerwujące... a mianowicie w czasie takich upałów.

— „Jestem za słaby do podróży“ odpowiedziałem żywo „Byłoby to chcieć śmierci“

— „Zobaczymy!“ rzekł poprawiając okulary „Jutro przyjadę i odprowadzę pana moim powozem na kolej.

Pojedziesz pan do mojego majątku, o trzy mile za miastem. Prześliczne miejsce i powietrze świeże. Małgorzata, gospodyni nie jest wprawdzie podobna do pani tu obecnéj.... ale ma krowę, będziesz więc pan miał rano i wieczorem mleko świeże.... Tak być musi... przygotuj się do drogi.

Ten ton imponujący oburzył mię bardzo. Szukałem odpowiedzi, kiedy pani Bronisława, milcząca dotąd, uprzedziła i rzekła:

— „Jestem zachwycona pańskim projektem. On mię wybawia z wielkiego ambarasu. Nie mogę dłużéj opiekować się chorym. List otrzymamy z kraju, zmusza mię do opuszczenia na czas pewien Paryża. Przykro mi bardzo, że zostawiam pana jeszcze nie zupełnie zdrowego, ale sądzę, że niewiele pan na tem straci. Pani Małgorzata... i ta piękna krowa, łatwo zastąpią moje dobre chęci.

Mówiąc ostatnie wyrazy, jakby dla nadania im więcéj ironii, uśmiechnęła się z lekka. Doktor nie zważał na to i udał zdziwienie.

— „Ach! więc tracimy panią? Szkoda, wielka szkoda. — O tak pięknego stróża chorych, nie łatwo“ Na te słowa pani Bronisława wstała i wyszła z pokoju.

Następnie zwracając się do mnie rzekł pogłosem:

— „Przyznaj sam, że kobieta ta za wiele ma powabów i za młoda do rzemiosła podobnego. Co więcéj, ma ona jąkąś myśl ukrytą... być może zajęta jest wspomnieniem, albo celem jakim“

Wspomnienie to podrażniło ranę gojącą się. Doktor niewiedział, że pani Bronisława jest matką dziecka, którego operacya tak okropny obrót wzięła; — Obawiałem się więc, żeby prawda na wierzch nie wyszła Obok tego, dotknął on jeszcze innéj strony bardzo drażliwéj, dotknął zazdrości. — Warjactwo! była to jednak zazdrość. Dałem mu ją uczuć, ale on tego niepojął i odpowiedział naiwnie.

— „Sprzeciwiaj się! sprzeciwiaj chłopcze, kiedyś podziękujesz mi za to, co ci dziś czynię.“

Po wyjściu Doktora pani Bronisława wróciła do pokoju i znalazła mię w położeniu prawie rozpaczliwem. Nieuszło to jéj uwagi — spoglądała na mnie z pewnego rodzaju współczuciem, siadła przy łóżku i sama rozpoczęła rozmowę. — Wszystko to było u niéj oznaką wielkich względów.

— „Tak więc od jutra, będziesz pan wieśniakiem“

— „Chcą mię nim zrobić“ odpowiedziałem żywo „Zobaczemy czy jestem, lub nie, panem własnéj woli“...

— „Ależ panie! nie trzeba tak rzeczy sądzić. — Słuchaj pan rady. Ponieważ nie mogę zostać tutaj...

— „A ja bez pani żyć tambym niemógł.

Wymówiwszy te wyrazy chciałem je cofnąć, ale zapóźno już było. Z kąd innąd znowu, zdawało mi się, że ona ich niepojęła.

— „Mój Boże!“ odpowiedziała naiwnie „ja tak samo jak pan sądzę. Zdrowie pańskie wymaga jeszcze opiekunki i opieki, do któréj przyzwyczaiłeś się Niechciałabym opuścić pana. niezupełnie jeszcze wyleczonego; ale potem co dziś powiedział Dr. R. nie mogę tutaj pozostać... bo doprawdy nie wiem jak się urządzić, żeby on mię nie widział......

Serce mi biło gwałtownie... bałem się inaczéj wytłomaczyć wyrazy wypowiedziane z nadzwyczajnym spokojem i krwią zimną. —

— „Czy mam prawo zrozumieć?... wybąknąłem.

— „Pan powinieneś zrozumieć“ przerywając mi rzekła „Jeżeli pan jutro będziesz posłuszny życzeniu doktora, to opiekunka w krótce przybędzie za panem..... ale trzeba być roztropnym, posłusznym, delikatnym....

— „Wszystko uczynię co tylko pani życzysz“ zawołałem całując poraz pierwszy jéj rękę

— „Czy pan masz siostrę?“ zapytała po chwili milczenia.

— „Ani siostry, ani brata“

— „A czy wie Doktor, że pan niemasz siostry?“

— „Nigdy z nim o rodzinie nie mówiłem — zna mię tylko jako ucznia“

— „Wszystko więc łatwo się da urządzić. Pan mu jutro powie, że siostra przyjedzie do pana na wieś. A jeżeli on sam zechce pana odwiedzić, nie trudno mi będzie uniknąć jego spotkania“

Jakby zdziwiona własną pobłażliwością, zerwała się nagle ku wyjściu. To poruszenie i wzrok jéj dziwny, sparaliżował usta gotowe wybuchnąć wyrazami wdzięczności.

Jakaż rażąca sprzeczność z temi oczyma i z tem przekleństwem, które zaledwie przed kilkoma tygodniami jak grom spadło na mnie!

Śmierć Żołkiewskiego.

Zygmund III. dobiegał już kresu żywota swojego, kiedy na horyzoncie społecznym i politycznym Polski, coraz groźniéjsze chmury zbierać się zaczęły. Zygmunt uparty wraz powziętym zamiarze, najczęściéj nie trafnym, wciągał kraj w kosztowne i bezowocne wojny, prócz sławy nie zostawiające nic po sobie. Gdy już niestało żelaznéj ręki dzielnego Stefana, rycerze Zaporożcy głusi na nawoływania słabych głosów Komisarzy Rzeczypospolitéj, rok rocznie prawie zapuszczali swe zwycięzkie czajki, aż pod mury Carogrodu. — Ztąd niechęć barbarzyńskiego półksiężyca co raz więcéj rosła i niejednokrotnie objawiła się Tatarskiemi wyprawami, zostawiającemi po sobie zgliszcza i jassyr bisurmański. —

Wśród tych trudnych okoliczności, wśród nieszczęść wywołanych wojnami na zewnątrz i rosterkami wewnątrz, zjawił się człowiek, który ostatecznie wpłynął na zerwanie odwiecznych stosunków, półksiężyca z tronem Zygmuntowym. Był nim niejaki Graciani, rodem Grek, wyniesiony przez sułtana za protekcyą Polski, na godność hospodara Wołoszy. Graciani nie ufając trwałości losu pod zwierzchnictwem Porty Otomańskiéj, postanawił oswobodzić kraj z pod niego i oddać się w opiekę z dawna sobie przyjaznych Polaków. Zamiary te coraz widoczniejszemi stawały się tak, że w końcu otworzyły oczy młodemu Osmanowi, który wówczas berłem Muzułmańskim władał. Gdy w tym stanie rzeczy stały, gdy ciągłe rokowania między dworem Polskim, Portą i Gracianim odbywały się, ten ostatni bojaźnią kary pobudzony, oświadczył nagle Hetmanowi Żołkiewskiemu, że siebie i kraj swój pod zwierzchnictwo Polski oddaje. Oświadczenie to, zerwało ostatnie ogniwa łączące Rzeczpospolitą z półksiężycem. Wnet tłumy bisurmanów pod wodzą Iskendera-Paszy, poprzedzane hordami tatarskiemi, wysypały się na pomszczenie polaków i ujarzmienie zbuntowanéj Wołoszy. Gdy wieść o tém Wielkiego Hetmana doszła, bez straty czasu na wsze strony zaczął rozpisywać listy i ściągać wojsko dla obrony zagrożonych granic kraju. Graciani zaś, niecierpliwy o przyszłość swoją, słał do Żołkiewskiego poselstwo za poselstwem, aby ten śmiałym pochodem na Wołoszczyznę, uprzedził wkroczenie Jskender-Paszy. Stary wódz widział niebezpieczeństwo podobnego kroku i dla tego niechcąc brać odpowiedzialności na siebie, całą tę sprawę do ostatecznéj woli i rozkazania królowi odesłał. Król zapytania Hetmańskie poddał do rostrzygnięcia swéj radzie.— Jedni, widząc szczupłość sił naszych, doradzali

poprzestanie na strzeżeniu granic kraju, inni charakteru zapalczywego wołali „Pocóż utrzymywać żołnierza, jeżeli ten, zamiast walki z nieprzyjacielem, gnuśnieć ma tylko w obozowem próżniactwie.“

Jak najczęściéj bywało, chwycił się Król rady nietrafnéj i rozkaz niezwłocznego wkroczenia do Wołoszy, Żołkiewskiemu przesłał. — Sędziwy Hetman, jakkolwiek innego był zdania, jednakże gotowością i duchem rycerskim wojska ożywiony, woli królewskiéj poddał się bez szemrania. A ponieważ widział i przeczuwał, że do stanowczéj chwili żywota swego zbliża się, ten pamiętny list w rodzinnym języku do króla wystosował.

„Klejnotu mnie od Waszéj K. M. powierzonego niechciałem dać w niebezpieczeństwo, na które sam się non invitus biorę; wypisałem w liście przyczyny dla których opuściwszy tutiora, fortiora consilia przedsięwziąłem. W téj Rzeczypospolitéj nierządnéj i krnąbrnéj, trudno inaczej téż. I prywata mię necessytowała, obmowiskami, detrakcyami passim mię i niewinnie urągano. A to i teraz gdyby Wołochom proszącym nie dało się ratunku, wielka do obmowiska materja i pewnieby mię to nie chybiło. Jużeż teraz do tego przychodzi, że albo (co Boże daj) zwyciężymy nieprzyjaciela, albo nas zwycięży nieprzyjaciel (czego Boże broń). Padnie — li co uchowaj Boże przeciwnego z nieszczęściem Rzeczypospolitéj, niechcę być Superstes duarum, tegom szukał nie nad wolę swoję; rad żywot położę dla wiary świętéj, dla służby waszéj Królewskiéj Mości, dla Rzeczypospolitéj, choć to od niéj za wiele prac, za trudy odwagi, miasto wdzięczności, wielkiem ponosił approbria żale. Nie mogę jednak jeno najlepiéj życzyć ojczyznie swéj, com dobrym umysłem uczynił. W niebie będzie da Pan Bóg zapłata. Jeżeli też Pan Bóg raczy przeciw nieprzyjacielowi pobłogosławić, wżdy zazdrościwe Petuliuszów języki ucichną. To tedy jest do inszych nie mała przyczyna, żem na tę rozolucyę przypadł, téż za zgodnem wszystkiego wojska zdaniem“.

Taki list wyprawiwszy i sporządziwszy testament, w którym synowi prócz dzidzictwa dóbr, przekazuję dziedzictwo cnót i męztwa swego, staropolskim obyczajem poleciwszy się Panu Bogu, dn'a 25 sierpnia 1620 r. razem z wojskiem opuścił Bar, kierując swój pochód przeciw Iskender Paszy.

Smutny był stan zastępu polskiego. Prócz wodza osiwiałego w walkach z zawsze liczniejszym nieprzyjacielem i prócz męztwa osobistego rycerzy — nic zanim nie przemawiało.

Tysiąc dwieście Lisowczyków z pułkownikiem Walentym Rogawskim otwierało pochód. — Za tym czołem postępowała jazda składająca się z 1500 Usarzy; 200 Rajtorów z młodym i dziwnéj waleczności pułkownikiem Denhofen, 800 konnych Ukraińców ze Stefanem Chmieleckim i Janem Tyszkiewiczem, 300 jazdy Barskiéj i 1600 kozaków pieniężnych. Piechota, licząc w to kwarcianą i niemiecką, wynosiła 2000 ludu. Do tego dołączył Aleksander Kalinowski 400 swojéj konnicy. Całe to wojsko wynoszące 8000 pod naczelnym dowództwem hetmana Żołkiewskiego, sprawowane było przez hetmana polnego a zięcia wodza, Stanisława Koniecpolskiego.

Zaraz przy przeprawie na Dniestrze okropna nawalnica zaskoczyła wojsko. Wśród niéj piorun w kawałki strzaskał znak hetmański, a konie ciągnące wóz Żółkiewskiego, przelęknione hukiem grzmotów i błyskawicą, nie chciały z miejsca ruszyć, aż nim niebo rozjaśniać się niezaczęło. Wypadek ten wywołał szepty między żołnierstwem, wyrażając obawę o przyszłość hetmańską — obawę, jak się poniżéj okaże, słusznie usprawiedliwioną. —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Gmach Towarzystwa Kredytowego w Warszawie.

(Z ryciną.)

Stoi on na miejscu gdzie przedtem był starożytny pałac o trzech piętrach, otoczony murem budowy włoskiéj, znany w Warszawie pod nazwą czerwonej kamienicy, lub pałacu czerwonego. Wystawił ten ostatni w roku 1685 ksiądz Michał Bartłomiéj Tarło, wizytator zgromadzenia ks. misyonarzy, a następnie biskup poznański i warszawski, który będąc już biskupem, mieszkał w nim, nie przestając pełnić gorliwie obowiązków wizyt₃tora. W tym celu kazał sobie zrobić przejście i przez ogród wchodził do kościoła św. Krzyża na nabożeństwo, oraz do swojéj celi na pacierze lub narady zgromadzenia. Po śmierci ks. Tarły nabył te posiadłość w roku 1717 Fryderyk Oemchin, dworzanin króla Augusta II, i odtąd też zwała się pałacem Oemchinowskim; składała się zaś z głównéj budowy o trzech piętrach, dwóch oficyn, stajen i ogrodu, który miał dwie wielkie altany. Opis tego pałacu znajduje się w dawnych aktach magistratu, z powodu iż w roku 1777 rząd ówczesny wynajął go od Franciszki z Oemchinów, żony Fryderyka Augusta de Weyrauch, pułkownika wojsk koronnych, na trzy miesiące, za 450 czerwonych złotych, na mieszkanie dla posła tureckiego, od 1go sierpnia do 1go listopada. Pierwsze piętro, całe umeblowane, oraz drugie i trzecie przeznaczone było na mieszkanie posła, a w jednéj oficynie umieszczono hauptwach. Oprócz głównéj stajni na 12 koni, w zabudowaniach na uboczu urządzony był szlachtuz. Do dwóch altan w ogrodzie, w zupełności także umebłowanych, wystawiono jeszcze jedną altanę dużą z desek na słupach, tuż przy oknie pierwszego piętra, w któréj poseł zwykle oblucye odbywał. Dziedziniec był oświecony latarniami, a oprócz wojska na hauptwachu, dwóch straży pilnowało pałacu. Urządzeniem mieszkania i odnowieniem budowli na przyjęcie posła zajmował się ówczesny architekt nadworny Dominik Merlini. W tym więc pałacu mieszkał ostatni poseł turecki w Warszawie, przy rządzie dawnéj rzeczypospolitéj polskiéj umocowany.

W roku 1782 z masy upadłéj Oemchinowskiéj przez licytacyę w sądzie miasta Grzybowa, do którego ta strona Warszawy należała, nabył go od kredytorów Karol Schütz budowniczy, zaś od jego rodziny kupił w roku 1827 Józef hr. Krasiński, szambelan, późniéj senator wojewoda, autor Przewodnika po królestwie w języku francuzkim, tudzież redaktor pisma peryodycznego pod tytułem „Piast“ czyli pamiętnik technologiczny, wydanego w 24 tomach. Hrabia należał do liczby najczynniejszych orędowników piśmiennictwa krajowego; starając się rozpowszechniać tanie wydania, założył w tymże pałacu pierwszą drukarnię stereotypową w Warszawie, i wydał w niéj wiele książek polskich, po nadzwyczajnie nizkiéj cenie sprzedawanych. Tu wyszły dzieła Franciszka Karpińskiego, Psałterz Kochanowskiego, kilka romansów Walter-Scotta, najwięcéj wtedy czytanych, elementarze i t. d. W roku 1830 całą posiadłość nabyła od niego gmina ewangelicko-augsburgskiego wyznania i założyła w oficynach dom przytułku ubogich tejże parafii; pałac zaś w większéj części stał pustkami, które raziły oczy przechodnia i były powodem do rozmaitych opowieści i legend, aż wreszcie w r. 1852 nabyty przez towarzystwo kredytowe ziemskie i rozebrany, ustąpił wspaniałéj dzisiejszéj budowli, ukończonéj w roku 1856.

Szarada.

Kto pierwsze drugie na drugi i trzeci,
Choćby dla dzieci;
Ten bezwątpienia i zawsze i wszędzie,
Wszystek mieć będzie. —

Za najśpieszniejsze odgadnięcie téj Szarady wyznacza się premjum „Powieść, Wczoraj, oddzielnie dla miasta, prowincyi i Galicyi.

Rozwiązanie Łamigłówki w Nr. 33: 1. **SagO.** 2. **ZeuxiS.** 3. **ApetyT.** 4. **MonitoR.** 5. **PapierosY.** 6. **AreopaG.** 7. **NieprzejednanI,**

Korespondencya Redakcyi.

Panu S. P. pod Wrześnią: Za szaradę dziękujemy. Panu Z. A. nad granicą: Tego rodzaju kontrabandy, schronienia w Sobótce mieć nie mogą. Pani R. w Poznaniu: W obec tak wielkiego i okropnego dramatu, jaki się dziś na świecie odgrywa, komedya wszelki traci powab. Panu W. P. pod Bydgoszczą: Nie nasza w tém wina. Panu L. K. w Dreźnie: Być może słuszne są pańskie uwagi nad towarzystwem polskiém, w Dreźnie bawiącém; być może, że to miasto jest źródłem nieprzebraném dla poszukujących mężów i żon, ale przedmiot nie jest pismu naszemu odpowiedni. Panu X. Y. Z. w Gnieźnie: Postaramy się życzeniu pańskiemu zadosyć uczynić.